11. listopada Nr. 26. Rok 1860.

CZYTELNIA

dla młodzieży.

Wychodzi we Lwowie każdego 1., 11. i 21. Bióro redakcyi przy ulicy Frenela Nr. 114. — Prenumeratę miejscową przyjmuje księgarnia K. Jabłońskiego. — Reklamy wolne są od opłaty.

Cena prenumeraty: w miejscu rocznie 4 zł., półrocznie 2 zł., ćwierćrocznie 1 zł. — Z przesyłką pocztową rocznie 4 zł. 40 cnt., półrocznie 2 zł. 20 cnt., ćwierćrocznie 1 zł. 10 cnt. wal. austr.

Projekt założenia:

„Domu dla ubogiej uczącej się młodzieży.“

„Już dawno nosiłem się z myślą założenia domu dla ubogiej uczącej się młodzieży, lecz dotychczas nie objawiałem jej, nie będąc pewnym, czy zamiar mój da się przyprowadzić do skutku. Lecz teraz, gdy przekonuję się coraz bardziej, jak każda myśl dobra przyjmuje się w narodzie i żywe znajduje poparcie, jak wiele da się zrobić wspólnemi siłami i drobnemi datkami — gdy nadto potrzeba schronienia i opieki dla ubogiej uczącej się młodzieży staje się coraz bardziej potrzebną, występuję z myślą moją publicznie i mam silną wiarę, że słowa moje nie będą daremnemi.

Do pracy, do nauki garnie się młodzież — w tym celu opuszcza dom rodzicielski. Z poczciwem sercem i umysłem czystym przekracza młody chłopak rodzinne progi — za nim patrzy matka z rodzeństwem i płacze, i żegna go krzyżem świętym na drogę, patrzy domek rodzinny pełen wspomnień najdroższych — przed nim otwiera się świat nowy: wiedza, nauka, świetne nadzieje, gorące życzenia, spełnienia, zawody.

Młodzież bogata ma opiekę w rodzicach lub przydanych jej nauczycielach — młodzież uboga puszczona samopas łamie się z losem o własnych siłach. Wybiega z domu rodzicielskiego niewinna, ufająca, swobodna — a jakże często wraca zepsuta, bez wiary, złamana fizycznie i moralnie, bez najmniejszego poczucia, co winna ojczyźnie i społeczeństwu. Ona temu niewinna, bo w każdym młodym szlachetne tkwią zarody, ale zły przykład, brak opieki, w ogóle brak dobroczynnego wpływu, działają często zgubnie i zabójczo.

Trzebaby temu zapobiedz koniecznie. Wszak teraźniejsza młodzież, to nasi przyszli kapłani, nauczyciele, mowcy, gospodarze, urzędnicy, słowem przyszli obywatele kraju, podstawy pokoleń przyszłych. W nich to trzeba zaszczepiać ziarno dobre — od nich zaczynać reformę na lepsze.

Ileżto ubogich a poczciwych i zdolnych chłopaków, pomimo całej pilności i ochoty do pracy, nie może sobie dać rady, i często w nadaremnych zapasach marnuje swe siły. Ileżto ofiar nieszczęsnych złego przykładu i zepsucia mieszczą szpitale, kryją cmentarne mogiły. Ile żywotów skrzywionych — ile łez — ile goryczy — ile złego — któż to policzy! A przecież dałoby się choć w części zapobiedz temu.

Chodzi tu więc o pomoc materyalną i o wpływ moralny.

Mamy wprawdzie stipendya, w ostatnich czasach nawet liczne, ale stipendya nie zawsze pomagają biednym . . . .
A nawet gdy stipendium jakie mniejsze dostanie się przypadkowo potrzebującemu go istotnie, nie zawsze dopina ono zamierzonego celu pomocy. Wypłacana bowiem zwykle co pół roku i dopiero po skończonym kursie sumka, nie ratuje stypendysty w czasie trwania nauki, gdzie mu pomoc jest najpotrzebniejszą; ale zamieniona u żyda za pół darmo idzie na pożytek lichwiarza, lub też wzięta razem roztrwoni się i staje się często powodem do lamparteryi.

Powtarzam więc po raz drugi, że tu trzebaby i materyalnej pomocy i moralnego wpływu, a uskutecznienie tego nie jest wcale niepodobieństwem.

Plan mój taki:

Za pomocą składek zbierze się sumka dostateczna, a *z procentu tejże* (bo kapitału naruszać nie można) najmie się pomieszkanie. Pomieszkanie to zaopatrzy się w najpotrzebniejsze mebelki i odstępować się będzie *daremnie* kilku lub kilkunastu (jak kapitał wystarczy), *biednym studentom.* Później, przy wzrastającym kapitale, zakupić się będzie mógł osobny dom z ogrodem, zaprowadzi się tania traktyernia, gdzie ubożsi daremnie, mniej ubodzy za bardzo małem wynagrodzeniem wiktować się będą mogli; założy się biblioteka dla młodego wieku stosowna, zbiory minerałów, owadów, flory krajowej i t. d. (staraniem młodzieży samej, bawiącej w rozmaitych okolicach kraju na wakacyach, założone) zaprowadzi się gimnastyka, szkoła fechtunków, odczyty z historyi ojczystej i t. d. i t. d.

Wszystko to nie są mrzonki bynajmiej — wspólnemi siłami da się nieskończenie dużo zrobić. Liczne garście ziemi sypią potężną mogiłę co trwa wieki — maleńkie mrówki pracą wspólną duże budują pagórki — drobne pszczoły składając każda swoją szczyptę miodu, szerokie zlepiają plastry. Mnóstwo także przytoczyćbym mógł przykładów z historyi, ograniczę się jednak na jednym najświeższym; mówię tu o otwartym kilka dni temu: „Domie dla rzemieślników,“ który stanął także małemi tylko datkami, a dzisiaj już tak zbawienne na przyszłość niesie owoce.

Zwracam więc prośbę moją do wszystkich chcących poprzeć mój projekt, a przedewszystkiem do młodzieży naszej. Rówiennik wiekiem wiem, że serce młode każdą myśl dobrą przyjmuje z zapałem i nie da jej zaginąć marnie. Najpiękniej będzie, jeżeli fundament do przyszłego domu schronienia dla ubogiej uczącej się młodzieży założy młodzież sama, jeżeli bratniem sercem najpierwsza przyjdzie w pomoc uboższej braci. Wiem że kieszenie studenckie nie są zwykle pełne, lecz tu nie chodzi o datek duży, ale o datek wspólny i częsty, bo tylko wspólnemi siłami wielkie stwarzają się dzieła. Kilka lub kilkadziesiąt centów, każdy i najuboższy dać może, a jeżeli datek ten złożą wszyscy, i kilka razy do roku, pomoc to będzie znaczna. Gdyby zaś który z młodych sam przyczynić się nie mógł datkiem pieniężnym, niechaj nakłoni do tego rodziców lub znajomych. Na pomoc młodzieży najwięcej liczę i cieszę się bardzo, że podać jej mogę sposobność złożenia dowodu szlachetności i pojmowania swych powinności obywatelskich.

Następnie odzywam się do matek — do matek naszych, polskich. Ileżto razy kładąc z błogosławieństwem rękę na głowę dzieciaka żegnałyście go ze drzeem, z dręczącą Was srodze obawą o przyszłość jego. Kto czuwać będzie nad nim w dalekiem mieście? Kto go strzedz będzie od pokus mnogich? Czy wróci napowrót do domu rodzicielskiego z paciorkiem na ustach i w sercu? — A gdy pomimo krwawej pracy nie byłyście w stanie złożyć grosz potrzebny na jego utrzymanie? gdy jak mara trapiła Was myśl sroga, że dziecko Wasze głodne? że mu zimno? że złe towarzystwo kusi go do grzechu? czyż mało cierpiałyście, czyż mało wylałyście łez gorżkich?

A nakoniec zwracam się do zacnych kapłanów naszych. U nich to każde przedsięwzięcie dobre na największą może liczyć pomoc, bo wszak prócz czynienia dobrze i czuwania nad powierzonemi sobie duszami, innych obowiązków nie mają i nie znają. To też gdzie chodzi o poświęcenie z szlachetnem zaparciem się samego siebie, o poparcie jakowej myśli zbawiennej i pożytecznej, znani z swej gorliwości kapłani nasi ubiegają się o to, ażeby na ołtarzu miłosierdzia złożyć najpierwszy i najbogatszy datek.

Nie mniej do panów obywateli kraju, nauczycieli, urzędników, starozakonnych, włościan naszych, słowem wszystkich zwracam prośbę moją, którzy przekonani są razem ze mną, że podobne schronienie dla ubogiej uczącej się młodzieży, która najbardziej potrzebuje pomocy i czuwania, jest bardzo a bardzo potrzebnem, a gdy są o tem przeświadczeni, niechaj raczą poprzeć czynnie myśl moją.

Raz jeszcze powtarzam, że nie są to mrzonki bynajmniej, i że wspólnemi siłami i dobrą wolą da się zrobić nieskończenie dużo. Grosz do grosza, cegiełka do cegiełki, a stanie gmach potężny, gdzie liczny zastęp ubogiej młodzieży kształcić się będzie pod troskliwem okiem starszych, na przyszłych a zacnych kraju obywateli. Dobrą wolą da się zrobić wszystko, wszystko; mam więc silną wiarę, że myśl moja nie zaginie marnie i że ją poprą ludzie zacni, pojmujący dobrze i całkowicie cel mój.

Mianowicie do czytelników „Czytelni“ zwracam się: ich przedewszystkiem upraszam, ażeby rozpowszechniali myśl moją i byli troskliwemi jej opiekunami. Niechaj w swoiem kółku zajmą się zbieraniem składek, a może jeszcze i tej zimy przynieść zdołamy pomoc niejednemu biedakowi i otrzeć łzę niejedną.

Z projektem moim obznajomiłem dotychczas tylko kilka osób, a wszyscy przyjęli ją z zapałem i poparli czynnie, co mi niemałą daje otuchę. I tak złożyli:

P. Alexander Tarnawiecki z Gdyczyny . . .	20 złr.
„ Ludwik Czerkawski z Gaj	5 złr.
„ Teodor Hulimka z Chłopiatyna	10 złr.
Ks. Rudolf Lewicki	5 złr.
P. Henryk Cieszewski	5 złr.
razem . .	45 złr.

Imiona wszystkich przyczyniających się do składki, ogłaszane będą w Czytelni, gdzie oraz najściślejszy zdawać się będzie rachunek z otrzymanych datków i z ich użycia. Prenumeratorowie Czytelni przesyłać je mogą razem z prenumeratą, lub też osobno, zawsze pod adresą „Redakcyi *Czytelni dla młodzieży*“ — składkę w miejscu przyjmują księgarnie pp. Kajetana Jabłońskiego i Karola Wilda.

Daj Boże!. ażeby myśl moja przyjęła się i dojrzała. *K. C.*

Ojciec do Syna.

Najpiękniejsza pieśń mój synu
Pieśń dobrego czynu:
Czemuż dzisiaj już tak mało
Pieśni tych zostało?
Pieśń zapału — urojenia,
Piękne to natchnienia,
Ale czynu pieśni — świętsze
I ponoś gorętsze.
Zrób co, zrób dla Boga, ziemi,
Siłami własnemi —
Zrób dla bliźnich i ojczyzny
Nie bojąc się blizny.
To ci pieśń zanucę głośną

Aż w niebo donośną,
Lecz mi daruj, że dziś jeszcze—
Twoje słowa wieszcze
Czci ku Tobie nie obudzą,
Choć przyjemnie łudzą.
Bo najdźwiętszych nót akordy
Pradziadowskie kordy —
A najdroższy liść wawrzynu
Za piosenkę czynu.

r. 1859. J. K. T.

Szkoła wyższa polska.

(129. boulevard du Montparnasse.)

Szkoła wyższa polska założoną została przez księcia Czartoryskiego w roku 1848. Głównem zadaniem tego zakładu, jest przysposabiać młodzież polską do wyższych zakładów naukowych inżynierskich, jako to: Szkoły dróg i mostów, Szkoły górniczej, centralnej, itp. Mówiąc o Szkole politechnicznej nadmieniliśmy, że do niej przyjmowani są tylko Francuzi. Jedynym więc zakładem, w którym Polacy mogą przygotowywać się do szkół specyalnych inżynierskich, jest Szkoła wyższa polska. Przysposabia ona jednak i wysyła swych uczniów do innych zakładów naukowych, jako to: Szkoły medycyny, prawa, paleologicznej, rolniczej, itp.

Szkoła wyższa polska zostaje pod zarządem Rady szkolnej, której przewodniczy książę Czartoryski; członkami jej są:

PP. Barzykowski, wice prezes;
Czartoryski książe Witold;
Czartoryski książe Władysław;
Morawski T.;
Zamojski jl. Władysław;
Plichta A.;
Kunat S.;
Błotnicki H.;
Jedliński Juliusz p. o. dyrektora szkoły.

Uczniowie szkoły są: *miejscowi*, *półmiejscowi i zamiejscowi*.

Uczniowie *miejscowi* zamieszkują w gmachu szkolnym, gdzie pobierają nauki, otrzymują książki i materyały piśmienne, jak również stół, opał, światło, opranie. — Opłata roczna jest 1,000 fr. Młodzież niezamożna, we Francyi lub w Anglii zamieszkała, otrzymuje całkowite albo częściowe uwolnienie od opłaty szkolnej.

Uczniowie *półmiejscowi* ulegają tym samym warunkom co i miejscowi, z wyjątkiem, że nie mieszkają w zakładzie. — Opłata roczna od nich jest 500. fr.

Uczniowie *zamiejscowi* mieszkają i stołują się po za szkołą, a uczęszczają tylko na jeden lub kilka przedmiotów, wykładanych w szkole.

Przyjmowani do zakładu są tylko Polacy. — Chcący wejść do zakładu, winien złożyć podanie do Rady szkolnej na ręce dyrektora Szkoły, który wyznacza dzień examinu, przypadający zwykle w pierwszych dniach października i kwietnia.

Examin wstępny jest podwójny: piśmienny i ustny.

Examin piśmienny zasadza się na zredagowaniu w domu szkolnym, pod okiem wyznaczonego na to profesora, dwóch pism, jednego w polskim, drugiego we francuzkim języku.

Przedmioty, których znajomość usprawiedliwioną być winna examinem ustnym, są następujące:

Gramatyka polska i francuzka, jakoteż ogólne wiadomości z literatury i historyi polskiej i z literatury francuzkiej;
Historya i geografia powszechna;
Arytmetyka i początki algebry;
Geometrya płaska i przestrzeni;
Początki fizyki i chemii.

Kandydaci, którzy posiadają dyplom bakałarza umiejętności, albo świadectwo z ukończonego gimnazyum w kraju, nie zdają examinu ustnego.

Kandydaci, którzy wymagalnościom examinu wstępnego niezupełnie odpowiedzieli, a których jednak Rada dla różnych względów np. sieroctwa, itp. do Szkoły przyjmuje, tworzą czasami w oddziale niższym klasę początkującą. Uczniowie tej klasy nie przechodzą do oddziału niższego właściwego, dopóki nie dowiodą, że posiadają naukę wymaganą programem wstępnym.

Rada szkolna bierze pod rozwagę tak odpowiedzi ucznia jak i jego stan majątkowy, i postanawia o przyjęciu, rozdzielając wakujące w szkole miejsca pomiędzy współubiegających się kandydatów.

Kurs nauk wykładanych w szkole dzieli się na dwa oddziały.

W oddziale niższym:

Język, literatura i historya polska.	PP. Duchyński.
Język francuzki.	Zawistowski.
Literatura francuzka.	PP. Carle.
Matematyka: arytmetyka, algebra, geometrya płaska i przestrzeni, trygonometrya prostokreślna, geometrya analityczna o dwóch wymiarach, statystyka.	G. H. Niewęgłowski.
Miernictwo niższe.	J. A. Kowalski.
Fizyka i chemia.	Faucher.
Rysunki.	Étienne.

Oddział wyższy:

Literatura i historya polska.	Duchyński.
Logika.	Carle.
Matematyka, geometrya analityczna o trzech wymiarach, rachunek różniczkowy i całkowy, mechanika rozumowa.	G. H. Niewęgłowski.
Geometrya opisująca.	Coulon.
Fizyka i chemia.	Faucher.
Rysunki.	Étienne.

Uczniowie z oddziału niższego mogą zdawać examin do Szkoły górniczej na rok przygotowawczy, do Szkoły centralnej i na stopień bakałarza umiejętności, — z oddziału zaś wyższego do Szkoły dróg i mostów i do Szkoły górniczej na rok pierwszy.

Uczniowie, którzy zdali examina i weszli do Szkół specyalnych, mogą uczęszczając do nich, pozostać w zakładzie aż do zupełnego ukończenia nauk, i przez cały czas swego tam pobytu, mają zapewnioną od zwierzchności pomoc i opiekę.

---

*

Niewiasta.

Nowo wychodzące pismo w Krakowie, pod redakcyą p. J. K. Turowskiego.

Co raz bardziej przychodzimy do przekonania, że potrzebne są już i u nas pisma specyalne, traktujące wyczerpująco o przedmiotach najstosowniejszych dla rodzaju czytelników, dla których pismo wyłącznie jest przeznaczone. Pisma takie specyalne wychodzą już od dawna we Francyi, w Anglii, a mianowicie w Ameryce — każda klasa ma tam swój dziennik, gdzie znachodzi wszystko, co ją interesuje i korzystnie na nią wpływać może. Ale też tam czytanie stało się potrzebą, niezbędną jak chleb codzienny — tam każdy człowiek wykształcony poczuwa się do obowiązku obywatelskiego wspierania dziennikarstwa krajowego, bo w jego wzroście widzi chlubę narodu. Ztąd ta niesłychana ilość dzienników tamże — z tąd tak zbawienne tego skutki: oświata narodu i rodzące się z tejże oświaty cnoty obywatelskie i dobry byt kraju.

U nas dotychczas inaczej jeszcze się dzieje. Dobre chęci jednostek natrafiają na obojętność publiczności, i najlepsze przedsięwzięcia rozbijają się często o ten szkopuł. A dzieje się to najczęściej nie ze złej woli, broń Boże! — ale z lenistwa, z gnusności duchowej, a pleśń ta umysłowa gorsza od najgorszej zarazy. Nie chce się często zaprenumerować, bo to ambaras — nie chce się odesłać zaległych pieniędzy, bo kłopot z pocztą — nie chce się sumiennie zastanowić nad odbieranem pismem, przeczytać go uważnie i ocenić jego wartość i donośność wpływu jaki wywiera lub wywrzeć może, bo to wymaga myślenia, a dużo z nas jeszcze nienawidzi każdego głębszego zastanowienia się gorzej od śmiertelnego wroga.

Pragnęlibyśmy, ażeby młodzi czytelnicy nasi postąpili w tej mierze o krok naprzód — ażeby nie obracali się wiecznie w zaklętem a ciasnem kole najbliższego otoczenia, ale żeby sięgali wzrokiem dalej, szerzej, jasniej, i żeby myśl ich rozprzestrzeniała się śmielej w niezmiernej dziedzinie ducha — ażeby chcieli widzieć, że po za domem jest jeszcze kraj rodzinny, jest ludzkość cała — że prócz historyi miejscowej, która ich zajmuje, jest jeszcze historya narodu, świetna, ciekawa i krzepiąca ducha — ażeby przyszli do przekonania, że ciężą na nich ważne i święte obowiązki dla kraju, że od nich zależy wartość przyszłego pokolenia, że oni są szczepami, z których wyrośnie las przyszłego krajowego obywatelstwa. Czy będzie bujny i silny, czy też karłowaty i strupieszały, to od nich zależy. Nie dosyć jest być *porządnym*, w zwykłem tego słowa znaczeniu, tj. zdawać dobrze egzamina, nie być pijakiem ani graczem i zachowywać się przyzwoicie w towarzystwie — oh to za mało, a mianowicie dla nas młodych. My kamieniem węgielnym przyszłości — do tego trzeba granitu twardego silnie spojonego, nie zaś miałkich cegieł. My już i tak nędzni, ubodzy w czyny, żebracy w obec narodu i historyi, bo ani jednego czynu nie możemy złożyć na szali zasług narodowych. Każden z ojców naszych ma bliznę — szczęśliwy! Każdy chowa w swych piersiach święte wspomnienia, które go grzeją i grzać będą do grobowej deski, my żadnych nie mamy zasług, zupełnie żadnych. Nie jestże więc świętą powinnością naszą, ażebyśmy brak ten wynagradzali przynajmniej cnotami obywatelskiemi, staraniem o dobro publiczne?

Ale odbiegliśmy zanadto od naszego przedmiotu, chcemy mówić o „Niewiaście“.

Jest to pismo dla kobiet, dla matek polskich — czyż może być myśl szczęśliwsza? pismo bardziej pożądane?

Reformę na lepsze potrzeba zaczynać od matek, od młodzieży, inaczej wszystko nadaremne. Matka wpływając przeważnie na pierwsze młodociane lata, kładzie w umysł dziecka kamień węgielny przyszłego człowieka. Poczciwa i zacna matka wychowuje poczciwe dzieci — to reguła. Są wyjątki, ale rzadko. Poczciwa i zacna matka to anioł stróż całego przyszłego życia: do niejto tęskna myśl bieży z ławy szkolnej, z pola bitwy, z łoża choroby i śmierci. To najpierwsza opiekunka — najtroskliwsza ochmistrzyni — najlepsza przyjaciółka — nikt jeszcze nie zawiódł się na miłości matki. Ona zawsze dobra, pobłażliwa, miłująca, litościwa, wspaniałomyślna, poświęcająca się, cierpliwa bez granic. — Kochaj zatem ojca i matkę, ażebyś długo żył i dobrze ci się powodziło na świecie — już pismo naucza święte.

Cześć polskim niewiastom — cześć matkom naszym! One były zawsze stróżami wszystkiego co dobre, szlachetne i wzniosłe — piastunkami myśli narodowej — protektorkami pismiennictwa. One były zawsze pierwszemi do ofiar — do poświęcenia — do czynu — i są niemi zawsze jeszcze. Cześć im!

Dla nichto poczęło wychodzić nowe pismo w Krakowie, „*Niewiasta*“ — raz na tydzień. Prenumerata wynosi rocznie: w miejscu 6 Zlr, z przesyłką pocztową 7 Zlr. 20 ctw. Dotychczas wyszło 6 numerów: zawierają one dużo artykułów dobrych, a przedewszystkiem stosownych dla rodzaju czytelników, mianowicie pióra p. Pauliny z L. Wilkońskiej, ks. W. Serwatowskiego, J. K. Turowskiego.

Na zakończenie podajemy kilka słów z programu, które najlepiej wyjaśnią cel tego nowego pisma:

„Już sama nazwa naszego pisma powinnaby być dostatecznym programatem, wszakże niewiasty są naszemi matkami, żonami, siostrami i córkami. Są połową naszego rodu, wywierającą przeważny wpływ nietylko na drugą połowę, ale i na cały rozwój historyczny ludzkości. Jakiż może być cel pisma, wyłącznie dla niewiast przeznaczonego, a nie chcącego być dziennikiem mód? — Powinno ono prowadzić do jasności umysły niewiast, do poświęceń ich serca, do szlachetności całe ich jestestwo. Powinno dobrze rozważonymi przykładami i potrzebnemi radami służyć im w ich właściwym zakresie, w którym są twórczyniami i opiekunkami domowemi pokoju i szczęścia, kapłankami świętego ognia, przy którym się ogrzewa serce mężczyzny, w zewnętrznym świecie ustawicznie oziębiane.“ □

Wspomnienia z podróży.

IV.

Grefenberg. Rischer.

Kto nie umie prędko się ubierać, niechaj jedzie do Grefenberga, a wyszedłszy z „dużej wanny,„ która nawiasowo powiedziawszy w dniach ciepłych ma 5—6 stopni Rra, niezawodnie sam się zadziwi, jak w mgnieniu oka będzie miał na sobie wszystkie suknie, a to bez żadnej zupełnie pomocy. O tem sumiennie zapewnić mogę, bo przekonuję się sam na sobie od dni dwudziestu.

Odsunąłem firanki i spojrzałem przez okno: zimno, mgła gęsta obsiadła góry i tylko deszcz drobny ją rozrzadza. Cofnąłem się coprędzej i ubrałem się ciepło: bo jużciż dzisiaj niepodobna odbywać zwykłej rannej przechadzki do źródeł. Siadłem na sofie i zamarzyłem o ciepłym kominku, o stronach rodzinnych....

Drzwi się otwarły.

Rischer! — przemówiłem do wchodzącego sługi kąpielowego stanowczo — dzisiaj nie pójdę na spacer.

Rischer wydał dolną wargę wystającą nad wierzchnią, rozszerzył szerokie usta i począł się śmiać zwykłym dobrodusznym sposobem.

Es geht nicht! — przemówił kiwając głową — *Euer Gnaden müssen Bewegung machen, das ist der Zweck vom Körper!* I nie czekając mojej odpowiedzi, jakby pewny zupełnie skutku, zdjął z kołka surdut i podał mi go.

Cóż było robić! zrzuciłem z cichą niechęcią ciepły szlafrok i naciągnąłem lekki surducik — wziąłem parasol — płaską szklankę schowałem do kieszeni, i z rezygnacyą godną lepszej sprawy, wyruszyłem w góry.

Nur viel trinken, Euer Gnaden! — słyszałem jeszcze za sobą napominającego Rischera — *das ist der Zweck vom Körper.*

Kapitalny ten Rischer. Od niepamiętnych czasów sługa kąpielny, jeszcze za Prisnica moczył z równą flegmą polaków, francuzów, niemców i anglików; o anglikach jednak niewiele wspomina, bo mu razu jednego pewien anglik przypadkiem przestrzelił ucho, celując do wiszącej nad łóżkiem czapki. Zawsze w dobrym humorze, uśmiechnięty, i każdej chwili skory do pogadanki, którą odbywa *po Napoleońsku*, z założonemi w tył rękami, przechadzając się powoli po pokoju. Zapewniał mię, że od lat 30 nie jada zwykle tylko chleb i mleko, a pomimo to, a może właśnie dlatego, chociaż liczy lat 60 z górą, wygląda zaledwie na 40 i nigdy nie choruje.

Wybiegłszy, pędziłem co tchu w góry, bo uczucie zimna rano, przy tutejszem o wiele ostrzejszem powietrzu, po odbytej kąpieli i kilku szklankach wypitej wody jest przenikające. Biegłem nie stawając, i zatrzymałem się dopiero przy „Źródle czeskiem“, dobre ćwierć mili od budynków kąpielnych oddalonem.

Jendyk jendyki gromadą wodzi,
Lew panie sam jeden chodzi...

ozwał się ze śmiechem tuż koło mnie gruby głos basowy.

Nie wszczynaj wojny profesorze, bo w tej chwili ani słówkiem nie jestem w stanie ci się odciąć—ozwałem się cały zadyszany, rzucając się na ławkę. Byłem u pana — dodałem — ale nie zastałem już nikogo, tylko klucz wisiał na kołku. Co do lwa zaś, wiesz profesorze, cośmy mówili ostatnią razą....

Skromność mospanie, a raczej zarozumiałość, bo wiesz zapewne, co powiedział *Pope:* Brak skromności jest zawsze brakiem rozumu.

Znałem sentencyonalny sposób mówienia zacnego profesora, więc się nie sprzeczałem.

Przeświadczenie spełnionego czynu, nadaje siły do spełnienia nowych — przemówił profesor wesoło — uapij się zatem aspan wody i chodźmy dalej.

Uczyniłem jak sobie życzył, i pożegnawszy obecnych niemców, którzy z rozmowy naszej prowadzonej po polsku nic nie rozumieli, poszliśmy obadwa dalej.

Był to p. K., były profesor w Warszawie, obecnie emeryt, znany zaszczytnie i w literaturze. Najwięcej i najchętniej z nim obcowałem, raz że mogłem mówić po polsku, a po drugie że przyjemnie i pożytecznie schodził mi czas w światłem jego towarzystwie.

Przyszliśmy na miejsce, zkąd był widok na pobliskie w około sioła. Niebo się wypogodziło, mgła obsiadła doliny, a z jasnego nieba jesienne wejrzało słońce, złocąc biały włos i twarz poważną mego towarzysza.

Biedny kraj, górzysty, a jednak o ile zamożniejszy od naszego — przemówiłem po chwili — a przecież, wolę nasze lepianki szare, nasze wsie smętne i ubogie, bo zrosłem się z niemi wszystkiemi najbardziej uroczemi wspomnieniami młodości. Wolę naszych wieśniaków w płótniankach, bo w nich przechowuje się jeszcze pierwotna prostota i szczerość, a w prostocie poezya...

Poezya! poezya! — mruczał profesor nieukontentowany, drapiąc się po schodach do wyższego źródła — gdybyśmy byli mniej poetyczni a więcej praktyczni, możeby i lepiej było!

Lepiej bylibyśmy odziani i bogatsi, niezawodnie, lecz kto wie, czy właśnie ta poezya nie stawia nas pomimo ubóstwa naszego wyżej nad inne narody. Zresztą profesorze, zostaw przynajmniej młodzieży poezyę, pomnąc co mówi nawet poważny nasz mędrzec *Grzegorz z Sanoka:* „Młodemu tak jest potrzebna poezya, jak pokarm dla ciała. Ci którzy się uczą innych nauk a nie czytają poetów, podobni są do człowieka, który do miasta zamiast bramą, chce wnijść przez mur.“

Profesor chciał coś odpowiedzieć, ale w tej chwili zastąpiło nam drogę trzech grubych prusaków. Szli powoli, sapali podług taktu, a dwóch z nich w tłustych prawicach trzymało tabakiery i chustki. Dobra minęła chwila, nim się tak uszykowali, żeśmy przejść mogli — profesor żywy i pomimo wieku rześki troche się już niecierpliwił.

Dobrze powiedział Napoleon — odezwał się z niechęcią, gdyśmy ominęli ich szczęśliwie — że trzeba gwałtownego paroxyzmu, aby się rozruszali niemcy. Ale oto jakiś nagrobek — przemówił zatrzymując się przed kamieniem, osłonionym smerekami, na którym wyryte stało złotemi literami: *Dem treuen Diener Franz, sein Herr Josef Bäuerle.*

Profesor wzruszył ramionami i idąc dalej, ozwał się z uśmiechem:

Możnaby czułemu niemcowi odpisać, co odpisano memu znajomemu, panu M. z Zagroba. Umarł mu parobek, którego bardzo lubił, postawił mu tedy nagrobek, na którym wyryć kazał:

Tu leży Wojciech, z Zagroba parobek,
Pan jego za wierność stawia mu nagrobek...

Ale zaraz na drugi dzień ktoś dopisał pod tem:

Kiedyś stawiał ten nagrobek
On już nie był twój parobek ;
A że po śmierci zwiesz się jego panem —
Toś kiep i dureń, na wieki wieków Amen

Dopisek krótki ale treściwy — odezwałem się ze śmiechem — i istotnie zupełnie słuszny. Ale oto *Bärenstein*! Sam przyznasz profesorze, że to najpiękniejszy prawie punkt Grefenberga, o którym mnóstwo sentymentalnych niemców rozpisywało się z wielkiemi czułościami, jakby o ósmym cudzie świata; a dalibóg że każdy kątek naszych Karpat daleko ładniejszy i romantyczniejszy.

Potężna skała zielonym mchem obrosła, zastąpiła nam drogę — to tak zwany *Bärenstein.* Na prawo krętą ścieżeczką prowadzi droga na jego szczyt, na którym otoczona drewnianą balustradą, pleciona z modrzewio-

wych gałęzi wznosi się ławeczka. Patrząc na dół, skała stromo ucięta prostopadle biegnie na dół, a pod stopami, gęsto zarosłe, poruszane wiatrem zielone chylą się sosny i smętne szumią modrzewie. Dalej, w przesmykach pomiędzy górami, mgłą ranną okryte dobrze zabudowane ciągną się wioski, i w słońcu porannem kościelne połyskują krzyże.

Gdyśmy się nasycili pięknym widokiem, zaproponowałem, abyśmy rozniecili ogień.

Dobrze! — przystał z ochotą profesor. I po chwili nagromadzone u stóp skały gałęzie, wesołym zatliły ogniem.

W kieszeni znalazły się bułki i owoce, rozłożywszy się więc koło ogniska, nie gnani głodem, siedzieliśmy i rozmawiali. Po chwili odezwał się profesor:

Żal mi sciska serce, gdy patrzę na młodzież dzisiejszą: poczciwa, ochotna i zacna jak zawsze, ależ Boże mój drogi, co do ciała strasznie nietęga. Dawniej chłop dwudziestoletni był rosły jak topola, barczysty w plecach, szeroki w piersiach, zdrów i jędrny jak orzech. Krew w nim grała gorąca jak lawa w wulkanie, a draśnąć go było na honorze, to ci ostrą stalą krwawą na łbie wypisał admonicyę; — dzisiaj już nie tak. Krew zwodniała, kark się ugiął hardy, a blada twarz i oko martwe nie dają wcale świadectwa ognia, ni zapału!

Wina rodziców profesorze — odpowiedziałem z westchnieniem, bo sam nie należałem także do tęgich.— Zaledwie dziecię pół łokcia odrośnie od ziemi, a metryka zaświadczy że skończył lat 6 najwięcej, już troskliwi o przyszłą karyerę rodzice zapisują go coprędzej do szkolnych katalogów. Nierozwinięty fizycznie a stary rozumem i namiętnościami, nędznieje ciałem, i starzejąc się przed czasem, pada ofiarą zbytniej troskliwości o ducha, a niedbania o ciało, o które w naszem wychowaniu publicznem zupełnie się nie troszczą, bo to nie leży w planie planodawców. W innych krajach trzymają się drogi natury: nim roślina kwitnąć pocznie, dadzą jej wzróść w łodygę i liście. Do nauk szkolnych należy tam wszędzie nauka gimnastyki, najzbawienniejsza ze wszech miar dla młodzieży — nauka szermierstwa i rozmaitych innych ćwiczeń. To też młodzież wyrasta silna i zdrowa.

Mówiłem gorąco i z zapałem, bo mówiłem z serca. Profesor się zamyślił.

A jednak jest na to sposób — odezwał się stanowczo. — Niechaj młodzież sama czuwa nad sobą, bo nie wolno jej marnować sił, które nie do niej należą, a bądź co bądź, nieuniknione to następstwo: że chore ciało osłabi najsilniejszego ducha. Starszym zaś dalbym radę, ażeby słuchali słów serdecznego naszego Syrokomli, a unikną niejednej pokusie. Słowa te są:

Patrz w jasne oczy twojego anioła,
Radośnem tętnem niech ci serce gra —
Miłośc cnotliwa w niebo cię powoła,
Smutek uleci, i pierzchnie jak mgła...

Cicho się zrobiło po tych słowach. Ostatnie słowa emeryta drżały w powietrzu, a migający płomień oświecał włos jego biały i pogodne a poważne lica.

Gdybym wiedział — odezwał się po chwili zadumany — że głos mój będzie wysłuchany, dałbym wszystkim młodym następujące rady, o których zbawiennych skutkach przekonałem się sam na sobie:

1. ażeby rano prosto z łóżka wstawszy, umywali codzień całe ciało zimną wodą, kąpiąc się lub też obcierając mokrem prześcieradłem.

2. ażeby przeszedłszy się potem, nie zważając na stan powietrza, póki nie przyjdą do naturalnego ciepła, pili podczas tego kilka szklanek zimnej wody.

3. ażeby zamiast kawy lub herbaty pili zimne mleko. „Od łyczka, do rzemyczka,“ powiada stare przysłowie, które i tu da się zastosować. Kawa lub herbata pociąga za sobą ochotę do cygara lub fajki — cygaro zaś i fajka, że oprócz niszczenia ciała i kieszeni, pociąga za sobą i jak najgorsze skutki moralne, wiadomo powszechnie. Zacna zatem młodzież, gdy widzi pomiędzy sobą niedorostka z cygarem w ustach, powinna to uważać za przewinę i skarcić surowo niedoświadczonego kolegę, a w razie niepowolności i ukarać go. To dla jego dobra. Nakoniec:

4. odbywać jak najpilniej ćwiczenia gimnastyczne.

W większych miastach przyjdzie to bez żadnych trudności, bo istnieją szkoły gimnastyki, z których za małą opłatą korzystać można; w pomniejszych zaś miasteczkach lub na wsi, najłatwiej w świecie zrobić sobie samemu lub dać zrobić kilka potrzebnych ku temu przyrządów, skazówkę zaś do tego rodzaju ćwiczeń poda pierwsze lepsze dziełko polskie lub niemieckie o gimnastyce, tanie zwykle, którego dostanie w każdej księgarni. Są to rady na pozór drobne — zakończył profesor popijając wodę — skoro jednak młodzież zechce się do nich zastosować, przekona się sama o ich zbawiennych skutkach.

Ale profesorze drogi — przemówiłem wyciągając z ceratowej torebki zegarek i pokazując mu godzinę — komu w drogę temu czas. Mamy godzinę drogi a i opaskę zmienić trzeba; jestem i tak pewny że mój Rischer zgromi mię należycie.

I rzeczywiście, skorom się zbliżył do mieszkania mojego, ujrzałem go stojącego we drzwiach i patrzącego na mnie surowo:

Euer Gnaden kommen zu spät — przemówił z przymówką — *man muss die Leibbinde wechseln, das ist der Zweck vom Körper!*

Zmieniwszy opaskę i poczytawszy chwilkę, znowu wyruszyłem na przechadzkę: bo tutaj przy kuracyi siedzieć nie podobna. Ogrzać się trzeba przed każdą kuracyą i po każdej kuracyi, a że one są bardzo częste, chodzić trzeba dzień cały i o jakiejkolwiek pracy umysłowej trudno myśleć. Cała czynność koncentruje się w nogach.

Po drugiem dzwonieniu idzie się na obiad, do „dużej sali,“ dużej rzeczywiście, bo zdolnej pomieścić kilkaset osób. Przy długich stołach siedzą rzędem obdarzeni zwykle dobrym apetytem goście, rozmaitego pochodzenia i różnych narodowości: linje kredą po ceracie oznaczone dzielą ich na oddziały. Czterej stanowią osobny korpus tabularny, na który przypada jeden półmisek potraw, wcale nielicznych, bo cały obiad składa się z dwóch potraw: mięsa z jarzyną i leguminy. W niedzielę tylko i święto trzema obdarzają nas potrawami.

Dzień jeden do drugiego podobny tu do siebie jak jedna kropla wody do drugiej. Równie więc jak zawsze, tak i dzisiaj o godzinie 8 znalazłem się już w łóżku, a stary Rischer okrywając mię i życząc dobrej nocy, pożegnał mię napomnieniem: *Schlafens gut, Euer Gnaden, denn dass ist der Zweck vom Körper!*

ROZMAITOŚCI.

✕ Dnia 28 paźdz. 1860 r. odbył się we Lwowie akt poświęcenia „Domu stowarzyszenia czeladzi rzemieślniczej.“ Dom ten położony jest przy ulicy Stojurskiej i był niegdyś własnością pana Jelskiego, a potem mieścił się w nim szpital dla małych dzieci. Po nabożeństwie o godz. wpół do ósmej w katedrze przez Xdza. Arcybiskupa odprawionem, stowarzyszeni członkowie w liczbie 450 odprowadzili Xdza Arcybiskupa w procesyi do pomienionego domu, gdzie już nań oczekiwali zaproszeni goście z różnych stanów, płci obojej, naczelnicy władz, arcybiskup obrz. ormiańskiego X. Szymonowicz, i biskup obr. gr. kat. X. Litwinowicz. Aktu poświęcenia dopełnił X. Arcybiskup osobiście.

Następnie X. Zygmunt Odelgiewicz, założyciel i kierownik stowarzyszenia, w mowie przez siebie mianej wskazał cele i dążności Towarzystwa, któremi są ugruntowanie moralności i rozszerzenie oświaty w klasie rzemieślniczej; opowiedział krótkie dzieje jego: jak w. 1856 założone zostało i długo musiało walczyć z licznemi przeszkodami, z niezrozumieniem jego celu, z przesądami i niechęcią majstrów, którzy nie chcieli pojąć ile dla nich samych spłynie korzyści, gdy będą mieli czeladź pracowitą i moralną — z brakiem funduszów i sympatyi. Złożył dzięki tym, którzy przyczynili się do wzrostu Towarzystwa, nie wymieniając atoli nikogo po nazwisku; dodał tylko, że zakład ten powstał głównie ofiarami obywateli *wiejskich*, ich opieką i datkami potrafił się utrzymać i rozwinąć. Zachęcał więc młodzież rzemieślniczą do wdzięczności, którą najlepiej okazać mogą sumiennem pełnieniem obowiązków i stawszy się użytecznymi społeczeństwu pracowitością i uczciwością swoją.

Winniśmy z wdzięcznością wspomnieć, że X. Odelgiewicz położył największe zasługi około zawiązania się tego stowarzyszenia. On się zajmuje sprawami jego z gorliwością największej pochwały godną. Nabycie realności o której mowa na własność stowarzyszenia, odnowienie i przyozdobienie tak głównego domu, przeznaczonego na zebrania członków stowarzyszenia w chwilach wolnych od pracy, jako też mniejszego domu na przyjęcie rekonwalescentów przeznaczonego, zawdzięcza stowarzyszenie Xdzu Odelgiewiczowi, który znanej powszechnie potęgi swego słowa używa w duchu chrześciańskiej miłości czynnej dla dobra społeczeństwa i na chlubę naszej religii.

✕ W indyjskiej księdze *Bhagawad-Gita* znajduje się następujące wyliczenie przymiotów Boga przez niego samego, z pewną naiwną wielkością właściwą poezyi wschodu, które poetyczne robi wrażenie:

„Jestem sprawcą tworzenia i niszczenia w świecie. Nie ma nic większego nademnie, wszystko zależy odemnie, jak perły zależą od sznurka, na który są nawleczone. Jestem parą w wodzie, światłem w słońcu i księżycu, dźwiękiem w powietrzu, energią męską w człowieku, miłym zapachem w ziemi, blaskiem w płomieniu, życiem w zwierzętach, gorliwością w gorliwym, nasieniem wiecznem całej natury; jestem mądrością mądrego, potęgą potężnego, sławą sławnego, a między istotami mającemi duszę, jestem miłością. Jestem ojcem, matką, opiekunem tego świata; jestem nauką tajemniczą, oczyszczeniem, świętą samogłoską, świętemi księgami Wedas; jestem przewodnikiem, karmicielem, panem, świadkiem, mieszkaniem, schronieniem, przyjacielem... Jestem źródłem gorąca i zimna, suszy i deszczu; w ręku moim jest nieśmiertelność i śmierć, jestem bytem i nicością. Jestem początkiem, środkiem i końcem wszystkich rzeczy. Między bogami Wisznu, a słońcem między ciałami niebieskiemi; między księgami jestem księgą hymnów. W ciele jestem duszą, w duszy jestem myślą. Jestem Meru między górami, między kapłanami jestem arcykapłanem; miedzy wojownikami jestem Skanda, między morzami jestem oceanem. Jestem samogłoską w wyrazach, a między rzeczami stałemi jestem górą Himalaja. Między mędrcami jestem Kapila, między oddającymi mi cześć, jestem czcią cichą i samotną; między drzewami jestem figą (tu następuje wyliczenie między końmi, między słoniami, między skałami, między wężami, między rybami, między ptakami i. t. d.); między rzekami jestem Gangesem, między naukami jestem tą co uczy jak rządzić sobą; w mowcy jestem wymową. Między literami jestem A, między wyrazami jestem myślą, co je łączy. Jestem czasem wiecznym, jestem zachowawcą, którego twarz obrócona na wszystkie strony. Jestem śmiercią pożerającą wszystko i zarodkiem tych, których jeszcze nie ma.

Między niewieściemi rzeczami jestem fortuną, sławą, roztropnością, wymową, pamięcią, czynnością, cierpliwością; między hymnami jestem wielkim hymnem, a między tonami jestem harmonią. Między miesiącami jestem dorkadocefalion, między porami roku wiosną, między rozrywkami jestem grą, między świetnemi rzeczami jestem sławą, zwycięztwem i siłą. W familii Wresznidów, jestem Wazuweda, między Padusami jestem Ardżuna, między pustelnikami jestem Wyasa, a między poetami Usanasa. W dumnych jestem dumą, u roztropnych roztropnością, w tajemnicy jestem milczeniem, w mądrych jestem nauką. Jakakolwiek byłaby natura rzeczy, ja tam jestem i nie ma nic, coby miało duszę lub nie bezemnie. Moje cnoty boskie są niewyczerpane. a to co powiedziałem jest tylko szkicem, ideą mnie samego. Nie ma nic pięknego, dobrego i szczęśliwego, coby nie było mną. Nakoniec! na co się przyda gromadzić dowody mojej potęgi; oto jeden maleńki atom wyszedł ze mnie i świat powstał, a mnie nic nie ubyło.“

„Nie jestem takim, jakim głoszą mię księgi Wedas; ale zaufaj mi, bądź pokornym na umyśle i wyrzecz się korzyści z twych uczynków. Nauka jest wyższą nad praktykę, a kontemplacya jest wyższą od nauki. Ten z moich czcicieli jest mi najmilszym, którego serce kocha naturę, którego się ludzie nie boją i on ich się nie boi. Kocham tego, który niczego nie pragnie od świata. I tego kocham, który jest cierpliwy i wytrwały i żadnemi przeciwnościami zrazić się nie da. A nakoniec ten jest najulubieńszym moim sługą, który kocha przyjaciół a nienawidzi nieprzyjaciół i wrogom nie przebacza — który jest zawsze jednakowo silny duchem i w chwale i w poniżeniu, i na wolności i w niewoli, w zimnie i gorącu, w cierpieniu i rozkoszy; dla którego obojętnem jest, czy go chwalą czy ganią, który mało mówi ale w czynie mowny; który nie ma domu gdzieby schronił głowę, a jednak służy mi z niezachwianą wiernością i miłością.“

✕ *Süddeutsche Musik Zeitung* wychodząca w Moguncyi, pisze w numerze 39: „Fortepian, który Chopin w ostatnich latach życia dostał od Pleyela w darze i na którym grywał, znajduje się obecnie w jednym z konzulatów w Bejrucie, w Syryi, gdzie niestety! poniewierają go używaniem do najpospolitszej muzyki tanecznej. Trudno się nie oburzyć na tę prozaiczną bezbożność względem relikwii, po tęsknym polskim muzyku.“

Z Krakowa

Smieciński A. Grozy. Ksiądz Augustyn Kordecki, poemat bohatyrski Fr. Krajewskiego.

○ W miesiącu zeszłym bieżącego roku dostaliśmy kilka nowości literackich, dochodzących nas w Krakowie wprawdzie nie najprędzej, pierwej jednakże niezawodnie niż gdzieindziej i dla tego słów parę poświęcamy na spisanie wrażeń doznanych po przejrzeniu tych pożądanych zjawisk naszych. I tak otrzymaliśmy nową ukraińską powieść Alexandra Grozy p. t. Smieciński, której część pierwsza niedawno wydaną została w Żytomierzu. Jest to utwór znanego już powszechnie i oddawna piszącego poety — nosi więc na sobie charakter wszystkich właściwych Aleksandrowi Grozie zalet i przymiotów. Pisany, że tak powiem z werwą i młodzieńczą niemal świeżością, czyta się z zajęciem, zachwycając nie rzadkiemi pięknościami uczucia. Obszerniejszy rozbiór „Smiecińskiego“ zostawiamy innym bieglejszym piórom, spodziewać się też należy, iż wkrótce ukaże się on w której z gazet naszych.

Drugiem dziełkiem, które niedawno odczytywaliśmy z uwagą, jest zapowiedziany, najniewłaściwszym, według nas, prospektem, poemat bohatyrski pod tytułem ksiądz Augustyn Kordecki w obronie Częstochowy w roku 1655 przez Fr. Krajewskiego. Głośne zapowiedzie, mniejszą przynoszą korzyść, gdy zawiodą oczekiwanie, aniżeli milczenie poprzedzające niespodziewaną dobroć, piękność lub slawę. „Kurierek“ i „kronika warszawska“ tak się przejęli uwielbieniem poematu pana F. K., że nie mogli się wstrzymać od zachwalenia go publiczności i to w sposób tak przychylny, że trudno dziwić się temu, iż wydane dzieło drugą część w spisie życzliwych autorowi przedpłacicieli przedstawia.

A jednakże pomyliły się obie redakcye, pomyliły bardzo. Sąd ich przedwczesny był za dorywczy, za prędki: dzisiaj chcąc o p. F. K. powiedzieć prawdę, trzebaby wręcz słowo po słowie, zaprzeczyć wszystkiemu, co Kurierek i Kronika o nim powiedziały. Jest bowiem w Kurierku o tym poemacie tak powiedziano: *pełen on pisarskiego talentu, prawdziwie poetycznego myśli polotu, a obok wierności historycznej i tego religijnego namaszczenia, jakie opisywanej obronie towarzyszyło(!?), godnie odpowiada wzniosłości materyi i nieposlednim dla literatury stanie się nabytkiem.* A tymczasem wszystko to bajka. Do przejęcia się owym religijnym zapałem jakie opisywanej obronie towarzyszyło potrzeba gieniuszu takiego jakim Mickiewicz stworzył swoje historyczne dzieła — jakim Słowacki wyspiewał księdza Marka — jakim J. Szujski tęż obronę Częstochowy w poemacie *„Jacek Brzuchański“* opiewał.

W utworze p. F. K. nie mogliśmy dopatrzeć ani — talentu nawet. Łatwość rymów nie przeprowadza jeszcze pisarzy po za granice mierności — ozdoby wydań, obrazki, kolumny nazwisk przedpłacicieli — to rzeczy najpodrzędniejsze. — Aby Kordeckiego z czystem sumieniem przedstawić w poemacie, trzebaby go tak przedstawić jak J. Słowacki przedstawił księdza Marka, a to książeczka maleńka, bez obrazków — nie doczekała się powtórnego wydania — a przecież śliczna. — O! prześliczny ksiądz Marek Słowackiego. Nie przeczym, że wiele trudności nastręcza taka treść jaką jest obrona Częstochowy w r. 1655. Któryś z niemców powiedział nie źle: że poeta chcący opisywać jakąbądź bitwę — musi ją w duszy swej stoczyć — musi z swego życia utracić życia tyle ile go w onej bitwie krwią się rozlało na pobojowisko.

To trudne zadanie! Baliński o nim pisał: *Ilem tchnął życia i t. d.* A któż to rzuci się dzisiaj... potęgą serca swego na tłumy Szwedów, otaczających zakątek niewojennych mnichów?.. Trzeba siły! Trzeba stworzyć chwile z r. 1655 — trzeba stworzyć w sobie takiego ducha, jaki był w Kordeckim, a to nie łatwa rzecz bynajmniej. — A. Mickiewicz w odczytach literatury słowiańskiej większy i wznioślejszy tysiąc razy stworzył poemat w jednej godzinie wykładu o Kordeckim w prozaicznej formie — od rymów p. F. K. A zabawna pretensya autora poematu, pretensya wyrażona we wstępie — śmiesznością obrzuciła utwór jego cały bo jak zawczesne pochwały Kroniki zawiodły oczekiwanie nasze, tak zapóźne jego pragnienie zrobienia popularną postaci ks. Augustyna Kordeckiego, najpoważniejszego — rozśmieszyć musiało. Któż nie zna ks., A. Kordeckiego? Jeźli jest kto — ten tylko chyba uwielbi poemat Krajewskiego... —

NOWOŚCI ARTYSTYCZNE.

— Na wystawie krajowej sztuk pięknych w Warszawie podziwiano obraz p. Józefa Simmlera *Barbara Radziwiłówna*, który — jak świadczą gazety warszawskie, takie wywołał wrażenie, jakiego od lat 20 nie pamiętano. Przemawia z niego równie silnie wykończenie artystyczne, jak też duch go ożywiający, który nadaje obrazowi temu życia niejako, tak że kobiety na widok jego — płakały. Rzadka to rzecz bardzo, ażeby obraz wzruszał: może unieść, oderwać na chwilę od ziemi, zająć dramatem przedstawionym, rozerwać, rozweselić — ale do łez poruszyć? to rzecz niesłychana.

Nie sama praca, historyczne znaczenie tego obrazu — pisze „Gazeta Warszawska“ — oddziaływały na widza. Wrażenie nie sięga tak głęboko: ono tylko szuka rysów, któreby się odbiły naturalnem, koniecznem echem w sercu każdego. Wolelibyśmy łzy nad wspomnieniem, ale przyznać musimy, że tu wywołanemi nie były tylko sympatyą, jaką budzi prawda w przedstawieniu każdej ludzkiej boleści; widokiem trupa tej kobiety, cudnej piękności jeszcze — tego człowieka w pełni siły i męzkości który z spokojną, prawie osłupiałą rozpaczą, wpatruje się w martwą twarz tej, którą tyle ukochał, dla której tyle przeniósł.“

„Barbara w bieli leży na łożu, na którem siadł Zygmunt; na krześle leży chustka, która może przed chwilą służyła do otarcia śmiertelnego potu. Wszystko na około tchnie śmiercią: życie skupiło się tylko w twarzy króla — ale to jest życie boleści, a raczej rozpaczy, nie krzykliwej, ale tem głębszej że spokojnej, pożegnania się z ziemskiem szczęściem. Pomimo tego skutkiem myśli, czy może raczej umiejętnego rozkładu światła, interes główny skupia się nie tyle w tej twarzy żywej, ile w owej martwej, bo postać Barbary stanowi główną figurę obrazu. Nic tu gwałtownego, nic hałaśliwego, nic konwencyonalnego; prawda wszędzie, prawda poetyczna, piękna.“

— Dr. Hessling i Dr. Kollmann, wydać mają w Lipsku „Atlas wyobrażeń fotograficznych z dziedziny anatomii powszechnej.“ Pierwszy to raz fotografia odda usługę umiejętności, przedstawiając obrazy mikroskopijne z wszelką wiernością: osiągnienie tego skutku z fotografii, zawdzięczać należy fotografowi Albertowi w Munichu, który rozwiązaniem tego problematu, wzbogacił badania przyrody nowym, ważnym środkiem pomocniczym.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

— *Iwanko* powieść p. Leona Kunickiego, która była poprzednio drukowaną w „Rozrywkach dla młodocianego wieku“ pani Pruszakowej. Warszawa 1860.

— Władysława Taczanowskiego *„O ptakach drapieżnych w królestwie polskiem — pod względem wpływu, jaki wywierają na gospodarstwo ogólne“*. (Warszawa 1860, druk Gazety Codziennej w 8ce str. 204). Dzieło ważne i pożyteczne, bardzo pracowicie i starannie obrobione.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Karol Cieszewski. W drukarni Kornela Pillera.